

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

W NUMERZE:

Zygmunt Nowakowski: „Ponad szpiż trwalszy” — Antoni Słonimski: „Popiół i wiatr. Opowieść o młodości i o utracenie miłości. Fragmenty poematu (rysunki Feliksa Topolskiego). — Antoni Cwojdzinski: W obłężonej Warszawie. Fragmenty sztuki. — Bolesław Wieniawa-Długoszowski: O kraju dzieciństwa i młodości. — Marjan Kukiel: Z galicyjskiego Powiśla. — Skarbnica Polska. Kazimierz Totmajer: Na Skalmie Podhalu: Jak walczył Wojtko Chrośca. — Jak się Józek Smaś pojechał wystąpić. — O Zwyrtale muzykancie (rysunki Janiny Konarskiej). — Cyprjan Godebski: Z wiersza „Do legionów”. — J. U. Niemcewicz: Pogrzeb księcia Józefa. — Marja Kuncewiczowa: Państwo Zet. — Stanisław Mackiewicz: Klamry. — Stefania Szurlej-Kossowska: Pływak. — Adam Romer: Anglia i Austria. — W. J. Szelki: Szwajk w szponach „Ge-stapo”. — Ksawery Pruszyński: Cmokiewicz i Inni. Z cyklu „Nasi nad Tamizą”. — Karol Zbyszewski: Warszawa. Z cyklu „Żołnierze których znam”. — Politicus: Sekoja zwlok marxizmu. — Konrad Syrop: Czy Hitler jest przypadkiem? — Jak ks. Łuskinia zwałował pismo Niemcewicza i Weysenhoffa. — Alfa: Rozmaitości.

REDAKCJA:

36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1

Telefony: MUSEUM 2346 i 2563

ADMINISTRACJA:

20, BLOOMSBURY ST., LONDON, W.C.1

Telefony: MUSEUM 9093 i 2563

CENA PRENUMERATY

kwartalnie

w Anglii ... 6s. 6d.
w innych krajach ... \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

Następny (noworoczny) numer „Wiadomości Polskich” ukaże się dn. 1 stycznia 1941 r.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

„PONAD ŚPIŻ TRWALSZY”

Wigilia dzisiaj. Gdyby nie zawalił się świat, byłbym dzisiaj w Krakowie i poszedłbym na Rynek, na Rynek biały od śniegu i zielony od drzewek a srebrny i złoty cały i kolorowy od włosów anielskich, od szklanych ozdób, od błyskotek i cudów rozmaitych, które w kramach i w budach przepukki sprzedają. Szedłbym przez ten śnieg biały, przez las zielonych choinek, przez oslepiającą tęczę barw ku pomnikowi Mickiewicza. Przyspieszyłbym kroków, bo już bije dwunasta, bo już pieje hejnał z wieży Marjackiej. Od tej melodii robi się jeszcze bardziej złoto i srebrnie w powietrzu.

Posłuchałbym dłużej hejnału, ale muszę iść. Nie wypada się spóźnić. Punktualnie o dwunastej mamy pod pomnikiem Mickiewicza zebranie sądu konkursowego, który przyznaje nagrody wykonawcom najpiękniejszych szopek. Jest tych szopek mnóstwo ookoła pomnika, na bruku, na stopniach, na cokole, a jedna ładniejsza od drugiej. Choć rwą oczy swym blaskiem i urodą, przecież nam, sędziom, robi się przykro: chciałobyśmy nagrodzić wszystkie bez wyjątku.

Obchodzimy tę wystawę szopek i krećmy głowami w podziwie. Oczy twórców ich, oczy błękitne a sprytnie andrusów krakowskich, patrzą na nas, starając się wybadać, które z tych arcydzieł bajecznie kolorowych zyska największy poklask i pierwszą nagrodę. My zaś, sędziowie, tacy, kustosze nóżków, specjaliści od tokoloru, znawcy starego Krakowa i t.d. krążymy, krążymy dookoła, nie mogąc ani rusz powziąć decyzji.

Przysłano z kraju przed kilku tygodniami fotografie, przedstawiające rozbiórki pomnika Mickiewicza na rynku krakowskim. Na jednym z nich widziałem postać poety już w pozycji pochylonej, już spadającej na bruk.

Przed chwilą jeszcze, zbudzony wspomnieniami i tęsknotą, grał nam hejnał. Umilkł raptownie. Urwał na wysokim tonie. Strzała, strzała gorsza niż tatarska, zatruta strzała, przeszła strażnikowi gardło na wyłot. Już nie gra.

Rozbiórka pomnika Mickiewicza... Podobno, tak wieść niesie, w czasie owej rozbiórki wszystkie obecni na Ryнку i przytomni tej chwili tragicznej, zdjęli kapelusze. Ktoś ukląkł. Ktoś ooczy zaslonił, patrzeć nie mogąc. Ktoś rozplakał się i zmilknał zaraz. Było cicho, śmiertelnie cicho.

I my, patrząc na te zdjęcia, milczymy. Nie da się powiedzieć jednego słowa nawet, choć właśnie słowa duszą nas. Milczymy. W ciszy slychać tylko, jak biją nam serca, jak rozsadzają pierś. Słychać, jak pękają naprężone do ostateczności mięśnie bark, pleców, ramion, rąk. Zwłaszcza rąk. Krew nagłym, lodowatym nurtem spływa w dół i jeszcze przedziej wraca do mózgu purpurową, gorącą luną. Czerwoną mamy przed oczami.

Musiał być huk ogromny, gdy taka bryła spłunęła ciężko z cokołu na ziemię. Musiały zerwać się sploszone gołębie z wieży Marjackiej i zatoczyć kolo z szelestem wielkim skrzydeł. Musiały zajęknąć głucho kamienie.

Echo słyszmy aż tutaj. Ogromny huk!

Prawda, ogromny huk. Ale podnieśmy głowy i nie patrzmy zbyt długo na rozbite szczytki pomnika. Mięśnie nasze nie predko się rozprężą, i krew nasza nie łatwo wróci do zwykłego rytmu, lecz niech do zwykłego rytmu wróci myśl nasza. Niech ta myśl zacznie pracować. Huk był olbrzymi, jednakże my w dzień i w noc słyszmy teraz o wiele silniejsze detonacje, do których zwolna, zwolna przywykliśmy. Już nas przestały dziwić, już nie wstrząsamy się na ich głos.

Z biegiem czasu każdy z nas poczył nawet coraz lepiej rozumieć sens tych detonacji. My wiemy, że wali się nie tylko Mickiewicz; strącony z cokołu rękami niemieckich barbarzyńców. My wiemy, że wali się świat cały. Właściwie niema go już. Widzimy tylko zarzysy świata, on sam ginie w kłębach ognia, w dymach pożarów, w eksplozjach bomb zapalających, wybuchowych, kruszących, które spadają w tej chwili albo które spadną w niedługim czasie na wszystkie kraje i na wszystkie lądy czy wyspy. Nad całą bowiem kulą ziemską zawisnęła w powietrzu olbrzymia bomba czasowa.

Ale równocześnie rodzi się świat inny. Wyjdzie z zamętu świat ducha, i ten świat nowy, świat lepszy, doskonalszy, dźwięnie się wzwyż, ku słońcu, podobnie jak nowy pomnik poety, piękniejszy i większy, dźwięnie się, wstąpi na jeszcze wyższy



pedestał i po dawnemu królować będzie w tem samym miejscu na rynku krakowskim. I po dawnemu pełno będzie pod nim kwiatów i pełno wieńców i pełno wstęg barwnych.

A rynek krakowski? O, ten rynek widział wiele, wiele rzeczy i wszystkie przetrwał, wszystkie przeżył. Widział książąt pruskich kłęczących z gołemi głowami. Kłęczeli niedaleko od miejsca, gdzie do niedawna stał pomnik poety.

Nie odrzuć Kraków zbudowano. I nie odrzuć go zburzyć można.

Jesteśmy Polakami. Czyli nie jesteśmy barbarzyńcami. Sprawiedliwość nasza musi być twarda, surowa i nieubłagana, więc taka, na jaką Niemcy sobie zasłużyli. Mimo to nie mówimy bynajmniej, że nowy pomnik Mickiewicza będzie odlany z weimarskich pomników Goethego i Schillera. Niech te pomniki stoją, ocalale z zagłady, niech patrzą na hańbę, na ruinę powojennych Niemiec. Bo Niemcy zhańbiły się już, a zrujnowane będą. Dogruntu. Dozna.

Kozacy, horda dzikich Kozaków czy Kalmuków, którzy wtargnęli w r. 1863 do pałacu Zamoyskich w Warszawie, nie wiedzieli napewno, kim był Szopen i czym był jego fortepian. Niszcząc pałac, zniszczyli także i tę pamiętkę. Wyrzucona przez okno, runęła na ulicę. Norwid zamknął ten fakt w lapidarnych słowach: „idealnie sięgnął bruku”.

To samo, jednak w stopniu znacznie wyższym, stało się z Mickiewiczem. Siegnął bruku. Ale posąg jego jest przecież trwalszy nad szpiż i nie da się stracić z cokołu naszych serc. Ten drugi posąg stoi mocno. On żyje, i zniszczenie go jest fizyczną niemożliwością. Co więcej, poeta, sięgnawszy bruku, stał się tego bruku własnością i tego bruku miłością.

Pod pomnikiem poety sprzedawano kwiaty i owoce, pod pomnikiem andrusy krakowscy robili wystawę swych arcydzieł-szopek. Z pewnością nie każdy andrus i nie każdy przechodzień, nie wszyscy przepuknie, przepukpi i kupujący, z pewnością nie wszyscy wogóle zdawali sobie sprawę z tego, czym jest naprawdę Mickiewicz. Zrozumieli go teraz do głębi i pokochali głęboko. Jego, który do niedawna był dla niektórych wielkością nieco trudną, może obcą nawet dla pewnego odsetka nieznaną.

Pomnik runął większy niż stał. Niemcy powiększyli tego olbrzymia stokrotnie i oni pokazali jego prawdziwą wielkość. Niemcy kazali go kochać każdemu Polakowi. Z serca tych andrusów krakowskich, z serca przepuknie, z serca przechodniów już nie wyrwie Mickiewicza. Dożył tej poecie, że zabłądził do serc.

Mysłimy o tem, my, na wygnaniu, tak strasznie daleko od Krakowa i od Polski, a przecież w tej chwili gra nam hejnał z wieży Marjackiej. Słyszmy każdą nutę wyraźnie. Od tej melodii robi się nam w duszach srebrno i złoście.

Nowy pomnik ulejemy nie z pomników, ale z dział zdobywczych. Tak będzie

lepiej. Tak przystało, Mickiewicz zasłużył sobie na to. Mickiewicz jest sam w sobie armją. Armją lądową, bo objął całość Polski i bronił jej granic, swem słowem. A każde jego słowo jest słowem wojującym. Mickiewicz jest armją powietrzną, bo unosi się nad całą Polską, i słyszmy wyraźnie, jak szumią pióra jego skrzydeł potężnych. On wreszcie jest i flotą wojenną, bo Polskę, zaklętą w słowach własnych, wywiózł daleko, na

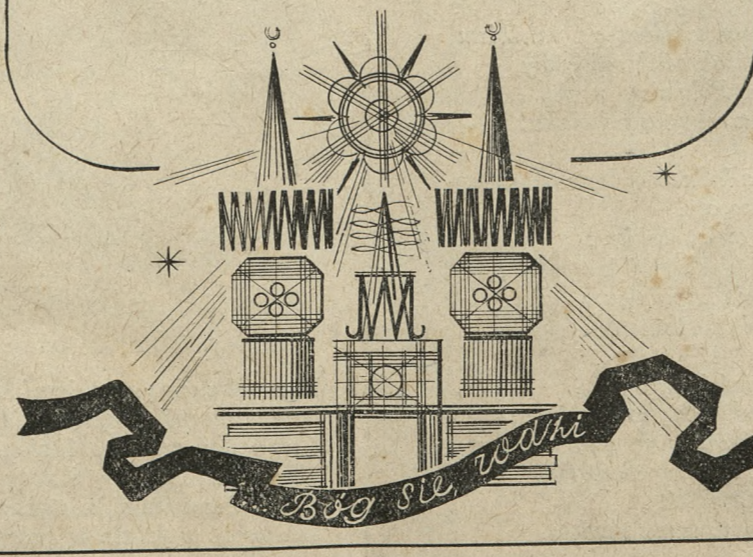
morza, na oceany, do wszystkich krajów i do wszystkich części świata, i kazal nam ją kochać, gdziekolwiek jesteśmy.

Przeto pomnik jego będzie odlany z niemieckich dział zdobywczych. Armja odnieść honorową w dniu odsłonięcia. Marynarze stać będą jako warta a nad pomnikiem wysoko, wysoko pospolu z gołębiami kolować będą lotnicy.

Z armat zdobywczych ulany jest dzwon

Ze względów technicznych warunki konkursu na pamiętnik żołnierski będą ogłoszone w jednym z następných numerów „Wiadomości Polskich”.

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony.
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice Nieskończony.
Wzgardzony, okryty chwałą,
Śmiertelny Król nad wiekami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.



Zygmunta. Niewiadomo napewno, co się z nim stało. Podobno Niemcy zaniechali pierwotnego zamiaru, i dzwon, milczący dzwon, został na wieży wawelskiej. Ale trzeba, abyśmy byli przygotowani nawet na rzeczy najgorsze. Mogą go ukrąść jutro, przecież dzwon na dwoje, stopić, wyrwać mu serce zwycięm.

Na myśl, że mogą go ukrąść, znowu pękają nam naprężone do ostateczności mięśnie, trzeszczą kości w stawach, grzytają zęby. Lecz mimo wszystko każdy z nas wie napewno i nieomylnie, że jeśli tego roku Zygmunt nie zadzwoni z Wawelu w tę czarną noc wigilijną, to zadzwoni w jasną za rok, za dwa, za trzy, ale zadzwoni! My już teraz słyszmy jego głos!

Wigilia dzisiaj. Szczęśliwy ten, kto zapomnieć o niej potrafi. Ale będzie to chyba udziałem niewielu. Nie da się zapomnieć w żaden sposób. O każdym innym dniu — tak, ale nie o tym! Jednakże, choćby nam było jeszcze stokroć gorzej, choćby jeszcze zwał się na nas miało tysiąc innych nieszczęść i kłesk, my już dzisiaj, tu, na wygnaniu, słyszmy wśród nocej ciszy głos dzwonów, głos idący razem z krokami dziejów. Nie mylimy się! Słychać je wyraźnie.

Słyszmy, że dzwonią, ale — wbrew przysłowiu — wiemy, w którym kościele: w katedrze na Wawelu, i u św. Jana w Warszawie, i w Farze poznańskiej, i u Dominikanów we Lwowie, i u św. Pawła na Antokolu, i wszędzie, w całej Polsce, po wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach. A w tym ogromnym chórze dzwonów odróżnimy głos jedyny, niezapomniany i niepodobny do żadnego innego dźwięku w świecie („A słyszałeś kiedy z wieży, jak dźwięczy i śpiewa On?”).

Już go słyszmy! Już przykłymy! Już placzemy! Ale dzwon nie płacze! On grzmi! On hućcy!

Zabrzęczał Zygmuntowski dzwon i bije jako nielotem, a trąby hućcają po przestworza, hej Zygmuntowski lotem!

A trąby hućcają jako działa, jakby już Polska wszystka wstała, hej w dawných woich dolach.

Jakby już szczęście swoje miała po wiekach, hej po latach, i kłęk i krzywdy zapomniła...

Nie! Nie zapomniła krzywdy i nie zapomni! Dojdzie swej krzywdy! I zrobi sprawiedliwość!

Wigilia dzisiaj. Jakaż ona jest w kraju, do którego płyną wszystkie myśli nasze, pełne miłości, troski i pokory? W Polsce rządzi teraz Herod biblijny. Co mówię! W Polsce rządzi dwóch Herodów. Niedgdy, w celi więziennej, w klasztorze wileńskich bazylianów, w tej samej celi, która pewnie i teraz zamieniona jest na więzienie przez Rosjan — otóż niedgdy książę Piotr mian w tej celi widzenie. Urwał mianowicie Heroda, jednego tylko Heroda, i w przerażeniu ogromem zawołał:

Tyran, wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda Wydana w ręce Heroda!

Jakież byłoby „widzenie” ks. Piotra, gdyby ujrzał obu Herodów? Możeby oslepił od tego widoku? Możeby zaczął bluźnić i zlorzeczyć, jak bluźnił i zlorzeczył Konrad?

Dwóch Herodów rządzi teraz Polską. Jednego było za mało! O, jak wysiliło się nieszczęście! Ileż tam ginie „młodzianków”! Herod czerwony stosuje śmierć powolną. Wysyła ich na Sybir, na mroź, na głód. Wyrwa dzieci matkom, wiedząc równie dobrze jak Herod niemiecki, że w każdym dziecku polskim ma śmiertelnego wroga. I nie myli się.

Herod niemiecki śpieszy się. Jego siepacze krążą po wszystkich miastach i po wsiach, wpadają nocą do domów, porywają na ulicy. Biblijna liczba młodzianków jest znikoma, drobna, w Polsce jest ich bezliku. Skazani wyrokem „sądu”, dwunastoletni i jedenaścieletni chłopcy, dzieci, giną pod kulami, wolejąc: „Niech żyje Polska!”.

Ten krzyk ich przedśmiertny trwałszy jest nad szpiż.

Czy mimo wszystko i naprzekór wszystkiemu Chrystus urodził się tego roku w Polsce? W tej Polsce ciemnej, bez słońca i bez gwiazd? Urodził się napewno! W tem właśnie leży prawdziwa wielkość „współczesności”, że ona wraca, nie wraca ta sama, jednak nowa. Napamięć ją umiemy a przecież jest niespodziana. Nowa nowością wiosny rokrocznej i tak samo radości pełna. Tylko że radość tego roku będzie ukryta, cicha i splakana.

Chrystus polski drugiego roku wojny, drugiego roku wygnania, jest smutny. Jest nagi i samotny. On płacze. Urodził się ten „Jezus malusiński” w stajni, którą zburzyła bomba niemiecka we wrześniu. Dachy nie było komu naprawić, i na złódek pada śnieg grudniowy. Do tego smutnego Betleem nie przyjdzie nikt z pieśnią, więc wigilia jest głucha. Chrystus płacze, i tylko wiatr w suchych, obumarłych gałęziach śpiewa Mu: „Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj! A Ty Go, Matulu, w placu utulaj!”.

Chrystus drugiego roku wojny, drugiego roku wygnania, leży na gołych deskach, do nawet słomę spod Niego wyciągnęli Niemcy i Moskale. Ukradli wołu i osła, które ciepłem własnym ogrzaćby mogli Jezusa. On jest głodny, i nie ma Go czem nakarmić „prześcizna Panienska”. Nie przybieży do Betleem pastersze, nie przyniosą darów, nie zagrają, bo tych pasterszy niema. Jednych pogнали Niemcy jako niewolników, inni poszli daleko, na Wschód. Wigilia jest głucha. Do Betleem w tę ciemną noc nie trafia trzej królowie.

Polski Chrystus drugiego roku wojny, drugiego roku wygnania, jest samotny, i nagi. Jest głodny. Płacze.

A jednak „Bóg się rodzi”. A jednak „moc truchleje”. Kto nie jest głuchy, ten słyszy, jak owa moc trzeszczy. Kto nie jest ślepy, ten widzi, jak owa moc wygina się, jak pęka. Im bardziej dżika i sroga, tem bardziej daje znać po sobie, że truchleje, że się przelisa, że się lamie.

My... Nie! Nie my, ale Polska jest wzgardzona a okryta chwałą. Chwałą nieśmiertelną. Polska jest trwalsza nad szpiż. I Kraj sam i ludzie w Kraju są trwalši nad szpiż. Wszyscy do jednego! Stał pękaby lub ugięła się, a Oni nie tęgą się! Dlatego na widok ich postawy twardej, niezmiennej, moc truchleje. Dlatego słowo o wolności ciałem się stanie. Dlatego zamieszka między nami!

I dlatego wrócimy. Dane nam będzie ujrzeć rynek krakowski w chwałę i w słońcu. Dane nam będzie ujrzeć nowy pomnik poety. Wojsko sprezentuje przed nim broń i odda salwę. Marynarze, pełniący wartę honorową, wypreżą się na baczość. Wysoko, wysoko, ponad pomnikiem, pospolu z chmurą gołębi krążyć będą lotnicy.

I zagrają wszystkie dzwony, w których ogromnym chórze ucho nasze odróżni dzwon o głosie jedynym w świecie, o głosie niezapomnianym.

To dzwon, którego głos tryumfalny słyszmy już dzisiaj.

Jak dzwon odlano przed wiekami z dział, tak samo z armat odejemy pomnik poety, i królować będzie po dawnemu na rynku krakowskim, niedaleko od miejsca, gdzie kłęczeli z gołą głową książęta pruscy. Polska jest trwalsza nad szpiż.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.



Cz 4570/1940

ANTONI SŁONIMSKI

rysunki FELIKSA TOPOLSKIEGO

POPIÓŁ I WIATR

OPOWIEŚĆ O MINIONEJ MŁODOŚCI I O UTRACONEM MIĘŚCIE

Fragmety poematu

Wy, którzy jeszcze Ją widzieć zbliża,
Wy, którzy jeszcze czucie na twarzy
Rozmkną w deszczu woi pogorzeliści,
Bijącą z gruzów domowych ołtarzy,

Wy, co z Warszawy imieniem łączycie
Obrazy bólu pełne i ogromne,
Wy, niech mi wolno wierzyć, wybaczyć
Że ją wam dzisiaj młodzieńczą przypominie.

Wiem, że w historii tej nieraz wypadnie
Rwać się wąż dobroliwie śledzić,
Bo płacz ze śmiechem łączy nieporadnie,
Jak ktoś kto naraz wszystko chce powiedzieć.

Niebo w nas bije wściekłym deszczem stali,
Świsł bomb wydzwania upiorne godziny,
A gdy noc rudą luną się wypali,
Poranek nowe obnaża ruiny.

Strach nam pod ziemią ukrywać się każe,
Lecz strach nie mija, kiedy drzwi odsłania,
Jakże zmienione nasze szare twarze
W krzywym zwierciadle wojny i wygnania.

Do Rosji mroźnej czy Ameryk obu
Rozwiał nas wszystkich wiatr po wielkim świecie.
Lęz i uśmiechem wierni aż do grobu,
O przyjaciela, wy mnie zrozumiecie.

Nie dla nas idzie i nie nam się zmienia
Świat w piorunowych gromach i burz świsłach.
Nam pozostały już tylko wspomnienia,
Albo westchnienia w beznadziejnych listach.

Gdy dziejów dramat rozpryca się oto
W ciemnych arenach od łez i krwi śliskich,
Oczy odwracamy z najczulszą tęsknotą
Do rzeczy małych, dawnych, sercu bliskich.

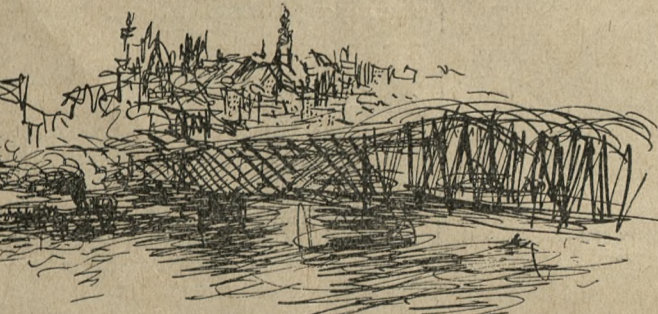


Zadudniła po bruku drynda jednokonna,
I cisza. Wieczór ciepły. Tramwaj hukny, dzwoni.
A znad Wisły, ze stacji Most—Wawer—Jabłonna
Słychać jak gwiazde kolej. Ktoś gra na harmonji.
Czeremchy pachną mocno. Znad wiślanej lachy
Wszedł księżyc i posrebrzył staromiejskie dachy.

Staliśmy chwilę na moście. Tegdy zawsze z bratem
Biegliśmy do kąpielni. Ten sam zapach wody.
A na róg do cukierni, tuż za Marjenszatem,
Już z tobą, moja miła, chodziłem na lody,
A na Zamkowym placu w innej cukierni —
Pamiętasz? — całowałem pierwszy raz twe ręce.

Szumiał wiosną wiatr ciepły a gdy lody przysty,
Śliśmy patrzeć na wody wzburzone i rwące.
Żółta, gliniasta fala zbudowanej Wisły
Niosła wyspy zielone, wyspy pływające.
Wierna rzeka domowa, strumieniem urody,
Ach, jakże nas zdradziły twe szerokie wody.

Nie szumiłaś wezbrana falami jak gniewem,
Kiedy żołnierz się cofał za armją rozbitą.
Pod gorącym wrzesniowem, nienawistnym niebem
Pastuch przepędzał krowy przez twoje koryto.
Nie było ciebie gniewnej i w wody objętej —
Tej jesieni ostatniej w Rzeczypospolitej.



Podróżny, do Warszawy jadąc z strony praskiej,
Nie wpada wprost ze dworca w samo centrum miasta,
Nie świecą mu neonów kolorowe blaski,
Lecz zato miasto przed nim powoli wyrasta,
Cichsze, ciemniejsze nieco, nie tak hałaśliwe,
Lecz zato bardziej swojskie i bardziej prawdziwe.

Drynda Zjadem pod górę wlecz się ospale.
Po lewej w dole, puste śpią targowe kramy,
Po prawej Zamek spada do Wisły wspaniale,
A kolumna Zygmunta w środku panoramy
Oddziela noc zapadła już na Starem Miście
Od blasku, którym świeci Krakowskie Przedmieście.

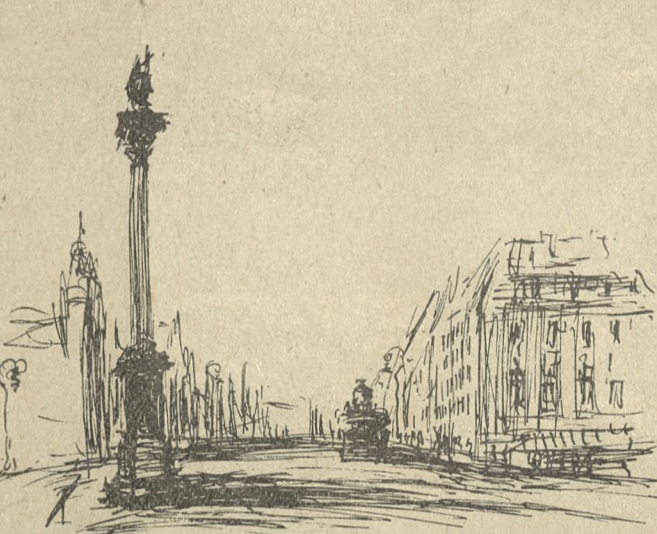
Muzyczka bije z barów, tango czy sztajerek,
Tętni sunie po chodnikach, szumi falą zawarta,
A po obydwóch stronach domów ciemnych szereg,
A przed każdym przystankiem i podumać warto,
Bo każda cegła, z których taki dom się składa,
O jakichś własnych naszych sprawach opowiada.

Było trochę prawdziwych, piękniejszych pamiętek,
Któreśmy utracili przez opór szaleńcy —
Ale z tego szaleństwa zrodził się początek,
A koniec — koniec dzieła to chwała wieniczy.
Tak sobie dzisiaj oto w ogromnym Londynie
O naszej i o waszej rozmyślam ruinie.

Uroczę pałacyki londyńskie Adama
W gruzach leżą jak domy zburzone w Warszawie.
(Adam, słynny architekt, jemu panorama
Londyńska winna wiele — rzeźby można prawie,
Że stolicę wysp, łądów i zamorskich krain
Adam kiedyś zbudował a dziś burzy Kain).

Odbuduje się Londyn, Warszawa podźwignie.
Przyjdzie pora na gruzach pomniki postawić.
Chociaż zgasa pożary, lecz żar nie wystygnie
I długo nas ten ogień będzie jeszcze trawić.
Ufajmy, że zło wszelkie aż do dna wypali
A to co było godne od gniewu ocali.

Nie wiem kogo Warszawa przeklinie czy zapomni,
Lecz w sercu zawsze jego zachowa jednego.
Nie giną bez pamięci tak jak on, niezłomni.
Stanie kiedyś w Warszawie pomnik Starzyńskiego,
Który wiernie stolicy jak nikt inny służył,
Pięknie ją rozbudował — jeszcze pięknie zburzył.

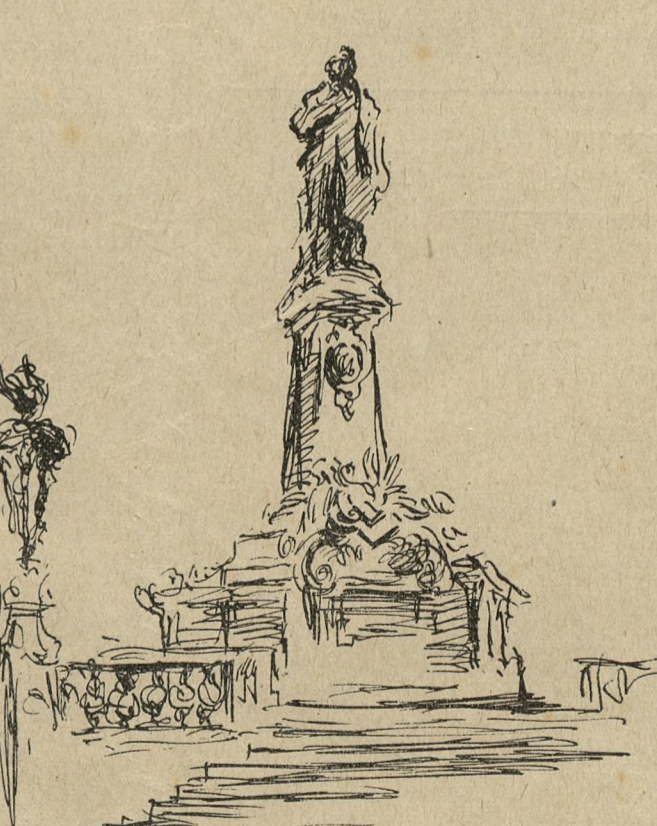


Wjeżdżamy przez Krakowskie w kraj wspomnień uroczy,
Znowu witam Warszawę dawną, miłą, starą.
Zapomnijmy o wszystkim i zamknijmy oczy —
Jedź, stara dryndo, tocz się, warszawska landaro!
Wszystko jest tak jak było na tym Bożym świecie.
O! z podróży wracamy znów na własne śmiecie.

Jak my kiedyś wrócimy? Którymi drogami?
Jedni śmieją się, drudzy, przyjdą z bronią w rękę.
Inni wrócą samotnie, drżącymi rękami
Serce ścisnąc pełne radości i lęku,
I z uśmiechem nieśmiałym, z pochyloną głową,
Czekać będą na bratnie powitania słowo.

Czy twarz twoja, mój bracie, zszarzała cierpieniem,
Czy usta twe zacięte gorączką i węgarką,
Rozchyliła się, rozjaśniła serdecznym wzruszeniem?
A może patrzeć będziesz spokojnie i twardo,
Obcy, zamknięty w swoich wspomnieniach i dumie,
Jak ten co milczeć woli, bo klamać nie umie.

Każdy z nas o tej chwili myśli i rozważa
Jak to będzie i kogo z najbliższych odszuka,
A może nawet mogił śladu i cmentarza
Nie znajdzie a gdy do drzwi rodzinnych zapuka,
Obcy ludzie otworzą, przypatrzą się zbliża,
Pomyślą — nie, nie wiedzą, nie znają nazwiska.



Przez Krakowskie Przedmieście leniwym truchcikiem
Jadąc musisz przystanąć i pochylić głowy
Przed jednym, niezbyt pięknym właścicielem pomnikiem,
Gdzie Mickiewicz, jak pawień okręślił wojskowy,
Przyjmuje defiladę codzienną Polaków,
Stojąc w pozycji „spocznij” z ręką na temblaku.

O warszawskich pomnikach z humorem beztrojskim
Opowiadał żarciki narodek wesoty.
Pamiętam że mówiło się o Poniatowskim:
„Widać nie był w legjonach, bo dzisiaj jest goły”;
„Bogustawski uchyla grzecznie kapelusza
Przed teatrem, lecz tyłem stoi do Ratusza”.

Stolica się nie szczyci przeszłością ojczyzny,
To nie Kraków, gdzie kamień każdy to pamiętka.
U nas na Świętokrzyskiej, gdzieś w składzie starzyzny
Znajdzie się czasem książka, rycina, pieczętka,
Portret Bacciarellego, obraz Canaletta,
Lecz reszta w antykwariach, to sama tandeta.

W oknie fałszywy ryngraf, kindżał autentyczny,
Zniszczone książki szkolne i modne powieści.
Odnalazłem tam kiedyś napis lakoniczny,
Co w paru słowach całe nasze dzieje mieści,
Pod starym pięknym szychem kołtawe litery:
„Okazyjne — Kościuszek skacze do Estery”.

Na pomnikach wyniosłych stoją po Warszawie
Wielkości w bronz lub marmur ubrane przed laty,
Lecz jeśli zryw jakiejś chcesz się przyjrzyć sławie,
To znajdziesz ją w kawiarni — marmurowe blaty
Cokolami są dla tych czcigodnych popiersi;
Tak się z plebem mieszają w narodzie najpiersi.

Różne były kawiarnie modne i cukiernie,
W każdej epoce w innym jakimś pokoiku
Perował warszawski apostoł i wernie
Gromadził swych wyznawców przy wspólnym stoliku.
Przy pół czarnej, wśród dymu, w palcie, w kapeluszu,
Gadał, bzdurzył, kpil, szydził, pelen animuszu.

Nie każdy już pamięta czem był Semadeni...
Zaniedbując pacjentów — wiem, że „pod Filary”
Biegł mój ojciec, gdzie razem siedzieli słoczeni
Rapački, Roland, Frenkiel i Leszczyński stary,
Malarz Lenz, czasem zajął Lasocki ogromny,
Albo szepczył Franc Fiszler, młody cichy, skromny.

Ojciec mój szanowany był „pod Filarami”
(Każdy stary warszawiak go ode mnie woli),
Żyła kiedyś Warszawa jego dowcipami
W dawnych czasach poczynnych moskiewskiej niewoli.
Piękny profil miał młody pan doktor Słonimski,
Mniej może katolicki — ale bardziej rzymski.



Pustemi ulicami przechodzę szczęśliwy
Przez Warszawę gorącą, niedzielnie omdalą.
W popołudniu czerwonym płynie żalostliwy
Gdzieś zdaleka litanji śpiew. To Boże Ciało.
W pustej Ziemiankiej kelner leniwie się włoży,
I Fiszler osowił, fajkę czyszcząc, mruczy.

Był na świetnym obiedzie i jeszcze wspomina
Każdy szczerót kolejni. Śledziki z śmietaną,
Majonezy, pieczarki i klopsiki z lina,
Lecz zapomniał — o wstydy! — jaką zupę dano.
Grzybową czy szawioną? Coś się pokręciło...
Wreszcie krzyknął do siebie: „Wiem, zupy nie było!”.



Wyszedł z ulgą z cukierni, Mazowiecką kroczy,
Spotkał kogoś — spojrzeniem jak biczem go zdzielił
I mruknął, zza binokli źle wlepiając oczy:
„Ten bydlak mi się w nocy dziś przysnił ośmielił,
Cóż za bezczelność, niełatki nie do darowania,
Wkraczać w dziedzinę cudzych snów bez zapytania”.

Franc Fiszler, trochę żartok i trochę gaduła,
Opryskliwy jest nieco kiely dobrze nie zje,
Lecz zawsze ten warszawski pyszny Gargantua
Cięty był i dowcipny, czuły na poezję.
Jeśli Bóg humor ceni, to w niebie Franciszek
Codziennie zupę ma dobrą i pełny kieliszek.



Patrz Franciszku! Już w złotym pyłe popołudnia
Płynie zmierzch, gwiazdy srebrne na niebie rozpała,
Westchnieniami, szeptami ulice załadnia,
Słodki zapach akacji przepięknie gdzieś zdala.
Już w Alejach gra światła i splecionych cieni
Elektryczne latarnie błyszczą wśród zieleni.

Oczy nasze spragnione są światła neonów,
Neonów zapomnianych i wystaw sklepowych,
Okien płonących nocą, otwartych balkonów
I latarni wśród liści blasków brylantowych.
Chociaż to nie tak dawno, dopiero od roku,
Przywykliśmy się w miastach snuć jak widma w mroku.



A przecież dziś straceni do krainy cieni,
Sięgamy głębiej wzrokiem i widzimy lepiej,
Niż wtedy gdyśmy nocą i światłem szaleli
W blasku miasta ogromnym bładzili jak ślepi.
Noc warszawska! Szumne, jasne, hałaśliwe!
I chłodne świtły blade, poranki twozłiwe.

Księżyc jeszcze nie poddał swojej srebrzystości,
Jeszcze trwa sierpem ostrym wciety w niebo ciemne.
Przecierany chmurami na nieba wklęsłości,
Nie da się zerzeć, zepchnąć, i strażie nadziemne
Sprawuje, gdy już z nieba ogromnych obszarów
Chmury mosą purpurę słonecznych pożarów.

Wiatr zerwał się i niesie gazety podarte,
Jak duchy w pustce ulic płyną miejskie śmieci.
Już ranek. Niebo modre, zielenią przetarte,
Łagodne, czyste, blade — a jeszcze się świeci
Czerwony neon knajpy obcy i rażący,
Jak zmarnowanej nocy wyrzut gorzący.

Jedzie pustą ulicą, wolno krok za krokiem
Chłop na furze i w chustce skulona dziewczyna.
Tu jeszcze mrok odnajdziesz. Tu spotkasz się z mrokiem,
Bo w tych oczach tkwi zimna podmiejska noc sina.
Jedzie miastem chłop polski, żeby wóz ziemniaków
Za garstkę soli sprzedać ku chwale Polaków.

„Byczo, wodzu kochany! Jazda do „Bristolu”.
Albo wicie co, wodzu? Na Gnojną do Joska,
Za miasto do „Sielanki”! A za miastem w polu
Wlecz się szarą miedzą szara polska troska.
A w „Sielance” konjacek — duszkiem po pół szklanki.
My jesteśmy Słowianie, lubimy sielanki.



ANTONI SŁONIMSKI.

ANTONI CWOJDZIŃSKI

W OBLĘŻONEJ WARSZAWIE FRAGMENTY SZTUKI

ELŻUNIA A ty mówisz, że on nie jest Bogiem dla nich! JUREK Właściwie... prawie że jest... Bogiem jest germańska rasa, a Hitler jest wcieleniem tej rasy — więc jest wcieleniem Boga.

KATARZYNA Chodźmy, pani starsza! Chodźmy, to przynajmniej nie będziemy musieli spowiadać się, żeśmy słuchały tych bluźnierstw! JUREK To jest prawdziwa wojna bogów... więc nie dziwnego, że wywołuje oburzenie...

przesiedzieć się za to, bo pan był jakimś znacznikiem? ZIEMIANKA Tak? JUREK Nie... Miałem tylko kilka rewizyj w domu... ZIEMIANKA do Felka A pan kto jest? FELEK Kto? Ja? ZIEMIANKA Tak.

FELEK Ale bezrobotny też musi z czegoś żyć... Nie? Jurek, dowiedziawszy się o tem czego dawno domyślała się wdowina, odseparował się zupełnie, podchodząc do Elżuni

ANIELA U nas kaźden może żyć... czy urodził się „panem” czy Żydem czy nawet Niemcem. FELEK Ale prostemu człowiekowi nie jest tam źle?

mnie gotowy? — Co ciocia daje nam całe jedzenie? ZIEMIANKA Musicie przecie mieć coś na taką drogę. KATARZYNA My tu mamy zupki cały baniak.

1) Rzecz dzieje się w bombardowanej Warszawie.

2) Rzecz dzieje się w zajętej przez Niemców Warszawie.



Adam Mickiewicz KSIĘGI NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO PAN TADEUSZ cena 1/6

MARJA KUNCEWICZOWA

P A Ń S T W O Z E T

Rano dn. 5 września 1939 r. przyszła z Grochowa pani Zet.

Jeszcze przed wojną, w czasie pierwszych dni września...

Tamto było dn. 26 lutego 1939 r. Tego dnia nie mogliśmy w żaden sposób dokończyć obiadu...

STANISŁAW MACKIEWICZ

K L A M R Y

W styczniu 1941 r. ukaże się nakładem M. I. Kolina książka Stanisława Mackiewicza „Historia niepodległej Polski (11 listopada 1918 — 17 września 1939)“.

myśli, jak paltocina cialo — spał dalej na jawie.

Właściwie pani Zet nigdy nie była smutna. Owszem, zalewała się łzami, ale te łzy, jak deszcz z burzliwego nieba...

Kiedy tak radośnie krzęła się dn. 5 września około uszczelniania zasłon na oknach...

Tamto było dn. 26 lutego 1939 r. Tego dnia nie mogliśmy w żaden sposób dokończyć obiadu...

paragody do oprawców i do ich ofiar, do rządu i do jego wrogów...

Jeden z uczestników demonstracji niebawem wpaść do nas na górę...

Wśród tych niepokojących okoliczności zawiadomiono mnie, że pani Zet przyszła...

Składajcie życzenia świąteczne waszym przyjaciołom Anglikom! nakładem wydawnictwa M. I. KOLIN (Publishers) ukazały się KARTY ŚWIĄTECZNE z trójbarwnymi rysunkami Ireny Łukasiewicz. Cena 4d.

na jakimś szańcu zożreć. Ale na którym? I czy kolega Kowalski pamięta o tej sprawie?

— Niechętnie szłam witając panią Zet. Rzeczywiście zastałam ją bardzo czerwona w wielkim podnieceniu...

— Abo to dzieciak da sobie rady? Abo ona potrafi się stargować? Odprawdziliśmy bliźniaczki do szkoły...

parasoli jest pierwszy sort jedwab, sto lat drugie przetrzyma...

Dn. 5 września 1939 r. szafce już się spywały na rubieżach, sypano je także na warszawskich skwerach...

Po śniadaniu ruszyłam ja tym razem w obchód poruszyny. Po ministerjach i po instytucjach...

Warszawa była pogodna w swoim niezawodnym słońcu wrześniowym. Kwiaty — nie pełne chryzantem, księgarnie — podręczników...

Na jakichś schodach minęłam listonosza. Był stary, złoty, ledwie żywy, widocznie pracował już w zastępstwie młodego...

W instytucjach stołecznych przyjmowano mnie żartobliwie, podobnie jak miasteczko przyjęło takśódkę z Warszawy...

Za zatrzaskniętymi drzwiami coś się działo, dobrze się co uradzało swojego i w jakimś pozytywnym celu robili z tego tajemnicę...

STANISŁAW MACKIEWICZ

K L A M R Y

agentem Ochrony? Ja wierzę oskarżeniom Bakaję, byłego pracownika Ochrony, który ujawnił, że wielki pisarz i filozof polski...

I potem drogi Pilsudskiego i Żeromskiego się rozszły. Pilsudski dowodził generalami w wojnie z bolszewikami...

Powieść obyczajowo-kryminalna Żeromskiego „Dzieje grzechu“, napisana w r. 1907, jest powieścią obyczajowo-historyczną...

Otożenie Pilsudskiego miało dwóch proroków: Wyspiańskiego i Żeromskiego. Wyspiański, to pisarz par excellence polityczny...

roztrzęsionych, szepczących kupkami. Po minucie wyносили do poczekalni twarze zamknięte na siedem pieczęci z bibułką...

Oczywiście oni wiedzieli. I oni nie potrzebowali nikogo.

W Warszawie, mający syrenę w herbie, zdawali się oswojeni z jej rozpaczą. Dziewczyna, która właśnie zwolniła kroku...

— Jak się to goście cisną do piwnicy — rzekła. — Do kina na darmość nieraz takiego tłoku niema...

— Chyba to w Okęcie tak walą? Jakże proszę pań? Pani z pewnością się wzdziiała...

STANISŁAW MACKIEWICZ

K L A M R Y

agentem Ochrony? Ja wierzę oskarżeniom Bakaję, byłego pracownika Ochrony, który ujawnił, że wielki pisarz i filozof polski...

I potem drogi Pilsudskiego i Żeromskiego się rozszły. Pilsudski dowodził generalami w wojnie z bolszewikami...

Powieść obyczajowo-kryminalna Żeromskiego „Dzieje grzechu“, napisana w r. 1907, jest powieścią obyczajowo-historyczną...

Otożenie Pilsudskiego miało dwóch proroków: Wyspiańskiego i Żeromskiego. Wyspiański, to pisarz par excellence polityczny...

